

# Musical z Bałuckiego

Teatr Komedja — „Klub kawalerów” Michała Bałuckiego, teksty piosenek — Krystyna Wodnicka, muzyka — Adam Markiewicz, reżyseria — Irena Górska, scenografia — Stanisław Bakowski, choreografia — Barbara Bittnerówna.

Ilość nazwisk w tej przydługiej „stopce” ma świadczyć, że teatr trochę tu zwątpił w żywotność pisarza. I bardzo starał się mu dopomóc: piosenkami, muzyką, tańcem. Nawet podtytuł poczciwej komedyjce zmieniono przemalowując go na „komedję muzyczną”. Można przymknąć oko na te machinacje, choć warto zastanowić się, czy były niezbędne? Czy rzeczywisty Bałucki już by nas nie śmieszył? Ten Bałucki, co bez jadu i pasji pracowicie portretował krakowskich mieszcuchów, kiwał im palcem, że lekkomyślni, że małostkowi, że szalaputy. A potem w łeb sobie na Plantach strzelił, kiedy szalaputy dały jemu z kolei do zrozumienia, że ich takie dobroduszone igraszki nie bawią, bo wola „weltschmerze” przybyszewszczyzny! Czy ten Bałucki i dla współczesnego widza umarł?



Wylczyłbym z łatwością kilka dowodów, że żyje znów, każdy przecież wiąże się z aktorstwem klasy arcywybitnej (Szaflarska, Opaliński, Krasnowiecki w „Grubych rybach”!), dyrekcja „Komedji” musiała widać przeprowadzić rzetelny bilans własnych zasobów kadrowych, w efekcie decydując się na wsparcie nie tyle Bałuckiego, co ansamblu. Bo to jemu pomaga ten cały muzyczno-taneczny farsz: łatwiej odparlantować kuplet, niżli ożywić światłocienie w starym dagerotypie. Ze oznacza to rezygnację ze światłocieni? — trudno, zamiary mierzone są przecież na siły, co wypada pochwalić, zważywszy iż spektakl zrobiony został przez Irenę Górską w dobrym rytmie i z poczuciem humoru. Z Bałuckiego pozostał tytuł, przebieg intrygi, zarysy charakterów, może trochę atmosfery, chyba że dwie — trzy role. Z Bałuckiego jest zramolały radca Sobieniewski, który kocha się w córeczce, gdy nawet dla mamusi jest za stary, ale zadawała się mamą, kiedy córka wybiera równolatka. Tadeusz Cygler wyposażył Sobieniewskiego w uroczą, stylową sylwetkę; odwołał się do dawnej konwencji aktorskiej, co podobne role kazala grywać z piankową szarmanterią. Odwołał się i wygrał. Z Bałuckiego jest także profesor Nieśmiałowksi; Bogdan Niewinowski, choć przypađło mu tu głównie tańczyć i śpiewać, potrafił ponad tymi zadaniami nabudować dyskretną charakterystykę swego bohatera — „nieśmiałowskiego” prawdziwie, a śmiesznego każdą grą mimiczną, każdą pauzą i ruchem. Z Bałuckiego jest wreszcie pani Jadwiga Ochotnicka.

I właśnie przeprowadzenie tej roli przez Hannę Orsztynowicz każe żałować, iż w siłę oryginalnego Bałuckiego na Żoliborzu zwątpiono: bo rola w literackim pierwowzorze piekielnie jednowymiarowa; ot, taka sobie fertyczna damulka, co potrafi mężczyzn za nos wodzić. A Orsztynowicz z tego jednego wymiaru zdołała wyczarować maksimum dowcipu, kobiecej przewrotności, sympatycznego liryzmu. Więc gdybyż i inni...

Inni poszli za Wodnicką. Tylko, czy warto nad tym biadać, skoro — powtórzmy! — spektakl jest rytmiczny, dowcipny, a pewna dwoistość aktorskich ujęć klarowności obrazu nie mać. Bo większość aktorów poszła za Wodnicką, lecz Wodnicka starała się w swej pracy nie dystansować od Bałuckiego. Powstał roztańczony, kolorowy, zabawny mini-musical w rzekmym stylu „retro”. Mniej mówi o zeszlowiecznym obyczaju, o galicyjskiej pruderii, o starokawalerskim zakłamaniu, lecz szczerze bawi widza, który do „Komedji” zagląda na co dzień. Więc może dobrze się stało?